wzruszenia, potem przytulił dozorcę do piersi, wycisnął na   
jego czole namiętny pocałunek i uparł się zabrać go z sobą do   
„Adrii”. Dzielny funkcjonariusz z początku tłumaczył memu   
znajomemu, że służba nie pozwala mu opuścić posterunku, że   
bardzo chętnie będzie mu towarzyszył, ale dopiero po godzi-   
nie szóstej.

  Gdy to wszystko nie pomagało i mój przyjaciel nie ustę-   
pował, służbista wydobył gwizdek, wezwał policjanta i oddał   
w jego niezawodne ręce swego wielbiciela pod zarzutem, iż   
ten zamierza najwidoczniej okraść aptekę za pośrednictwem   
wspólników, którzy niewątpliwie za rogiem ulicy czekają   
tylko na to, by dozorca uległ i udał się na dancing. Niefortun-   
ny entuzjasta nocnej straży do rana tłumaczył się władzom   
z motywów, jakie go skłoniły do kuszenia strażnika koktajlem   
i dziewczynkami.

  Gdy pewnej nocy serce moje zapłonęło ogniem podob-   
nych uczuć, pomnąc na straszliwy przykład swego druha   
ograniczyłem się tylko do poczęstowania nocnego stróża pa-   
pierosem oraz do krótkiej wymiany myśli.

  Pan Franciszek Czyżyk - tak się bowiem nazywał boha-   
terski obrońca sklepów i mieszkań parterowych - najpierw   
obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem, ale wreszcie nie uchylił   
się od rozmowy na tematy ogólne, ze specjalnym uwzględ-   
nieniem próbnego tygodnia ciszy.

Z polityką międzynarodową i bolączkami społecznymi   
załatwiliśmy się w kilku zdaniach, o walce z hałasem mówi-   
liśmy nieco dłużej.

 - Owszem, cichość rzecz przyjemna, ale nie dla bezpiecz-   
nego fachowca.

- Dlaczegóż to?

- Bo się cholerycznie spać chce. Senne marzenie same   
na człowieka przychodzi. Dawniej, jak się mnie oczy kleili,   
taksówka zatrąbiła, tramwaj zadzwonił, czyli tyż tramwajarze   
szyne żelazną sto kilo wagi na tretuar rzucili i od razu musia- 

196 

łem się ocknąć. A teraz broń Boże o ścianę się oprzyć, bo się   
człowiek może obudzić o dziesiątej rano.

- No, ale z drugiej znowu strony łatwiej złodziei upilno-   
wać, bo każdy szmer pan usłyszy.

 - To pan szanowny nie zna warszawskich fachowców.   
Od razu sporutowali, co i jak trzeba robić, i na gumianych   
podeszwach chodzą. Nic ich pan nie słyszy. A smykałkie taką   
mają, że wczoraj jednemu mojemu koledze „A-a-a, kotki dwa”   
nad uchem zaśpiewali - od razu chłopina kimnął i jak się   
obudził, trzy sklepy byli obrobione na glanc.

  W ogólności, proszę pana szanownego, nudno jest teraz   
na ulicy, że płakać się chce.

  Żadnej rozrywki człowiek nie ma. Dawniej co i raz po-   
gotowie gdzieś zajeżdżało, bo się publika bardzo chętnie po   
zębach grzała, a dzisiaj każden się boi nocnej ciszy zakłócić,   
bo może mieć nieprzyjemność:

  Wszyscy narzekają: parówkarze, fachowe kobiety, szo-   
feraki, a także samo policja, bo życia nie ma, panie szanowny.   
 Dawniej gość przyszedł na parówki, ze znajomem sobie   
porozmawiał i ani się nie zmiarkował, jak sześć, siedem sztuk   
opchnął. A teraz smutny stoi przy wózku, jak na żałobnem   
syrku, i po cichu, na ucho parówkarzowi zamówienie usku-   
tecznia.   
 I nieporozumienia z tego wychodzą. Trzy dni temu nazad   
obstalował gość porcję sejmowej kiełbasy bez musztardy.   
A że brzęczał do ucha parówkarzowi, ten nie zrozumiał i dał   
z musztardą. Gość się zakrztusił, kopnął w wózek, kajzerki   
porozrzucał, sól i pieprz rozsypał, i nieprzyjemność była. Po   
cichu co prawda, na paluszkach, ale w każdem bądź razie - ro-   
zerwa policji z komisariatu przyjeżdżała i drabina z nowo-   
świeckiej straży ogniowej, bo gość na latarnie wlazł i nie chciał   
wcale złazić.

  Tak, tak, panie szanowny, to się nie utrzyma. Warszawa   
nie Kaczy Dół, tu życie być musi!

197